Rok 1936. 9 lutego Nr. 6.

DZWONECZEK

POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

W rocznicę odzyskania morza.

Cudne, niepojęte, zawsze upragnione jest morze!

Kto go nie widział w swem życiu, nie może mieć pojęcia, jaki wywiera urok nieprzeparty. Wiecznie ruchliwe fale płyną i płyną, zbliżają się do brzegu, kładą się na nim szeroko, a z dali nadchodzą nowe bez końca, wciąż nowe, aby za tamtych przykładem ledz spokojnie na piasku wybrzeża, albo roztrzaskać się o nieustępliwe granity skał.

W wieczystym ruchu jest bezmiar morskich wód. A na ich powierzchni, zda się, nieznającej granic, kołyszą się, niby łupiny maleńkie, statki wszelakie ludzką wykonane ręką. Suną dumne, iż pod swoją moc podbiły nieokiełznany żywioł przyrody.

Ale morze nigdy nie uzna się niewolnikiem. Kiedy gniew wstrząśnie jego przepastnem łonem, najwspanialsze okręty, najpyszniejsze ludzkie dzieła zniknąć mogą w jego falach, niby piórko zgubione przez ptaka. I tak mocują się ze sobą od wieków dwie potęgi: przyroda i genjusz człowieczy.

Wspaniałe jest morze! Wspaniałe zarówno w słoneczny czas błękitnej pogody, jak i w groźną porę burzy i huraganu.

Jakże Cię chwalić winno każde serce polskie, Wszechmogący Rządco świata, iżeś nam w Swej łaskawości dał morza kawał we władanie! Niechaj przez to okno cudowne, na ścieżaj nam otwarte, wylatuje pod Twoje niebiosa niemilknąca pieśń podzięki, łącząc się z głosami tych braci naszych, którym życie upływać musi na roztoczach mórz i oceanów całego okręgu ziemi. Zezwól, aby im w jakąkolwiek noc trwogi świeciła zawsze blaskiem ratunku jasna „Gwiazda morza!“

Edward Słoński

MEWY.

Na dalekie na błękitne rozlewy
poleciały białe mewy — hej mewy...
Poleciały białe mewy o świcie —
i już giną, jak motyle w błękicie.

Pod wysokim, lazurowym namiotem
stoję cichy, upojony ich lotem —
białe mewy jeszcze w dali migocą,
a ja nie wiem, dokąd lecą i po co...

Las — zimą.

Las ciągnie nas w lecie swoim niewypowiedzianym urokiem, świeżością powietrza, zielenią drzew, śpiewem ptaków, mnóstwem różnorodnego kwiecia a przedewszystkiem tą przedziwną tajemniczością, jakiej nigdzie indziej nie spotykamy. Robi na nas wrażenie ogromnej, naturalnej świątyni, zwłaszcza w chwilach głębokiej ciszy, której naruszyć nie potrafi opadający gdzieniegdzie listek czy złamana gałązka.

Inne wrażenie robi na nas las w porze zimowej. Zamiast rozkosznego chłodu po nużącym upale, wita nas przenikliwa wilgoć, zamiast gęstwy zielonej liści, pustka na drzewach i krzakach, cisza nieprzerywana nigdzie szczebiotem i śpiewem ptactwa. Słońce chodzące po niebie nisko i krótko, pozostawia las w ciągłym półmroku i tylko śnieg, dłużej się tu utrzymujący, nadaje nieco jasności. Mimo jednak tej ogólnej martwoty, spotyka się w lesie także i zimą oznaki życia. Poza wiecznie zielonemi drzewami szpilkowemi, wśród których koron świszczą ostre podmuchy wiatru, wyzierają z pod śniegu zieleniejące zawsze barwinki i listki niektórych jagód, a gdzieniegdzie pysznią się swoją urodą prześlicznie wyrzynane liście paproci. Dla ptaków, które u nas zimują, a także i dla tych, które z mroźniejszych krajów północnych chronią się do nas, zastawia las kolorowe uczty złożone z czerwonych owoców głogu, czarnych i zielonych jagód jałowca i t.p. Toteż korzystają z nich nasze zięby, szczygły, dzwońce, a z gości jemiołuszki i gile, które swojem prześlicznem upierzeniem żywo odbijają od bieli obsypanych śniegiem gałęzi.

Najpoważniej przedstawiają się w lesie porą zimową jodły wyniosłe, niedostępne, o czarnej gładkiej korze; towarzyszą im dokoła osędziałe buki, rude, jakby płonące sosny, srebrno-popielate osiki o drżących nawet bez wiatru listeczkach, białe brzozy i radujące zawsze nasze oczy ciemnoigłe świerki, którymby tu w lesie wcale nie odpowiadały najpiękniejsze nawet świecidełka, jakiemi przyozdabiamy ich siostrzyczki, świąteczne choinki.

Zimą nabiera las, jak zresztą i cała przyroda, świeżych sił, któremi na wiosnę obdarzy nieprzeliczoną ilość swych zielonowłosych mieszkańców, ludzi zaś nanowo czarować będzie swym urokiem, darzyć radością, wolnością i zdrowiem. Wiosno, czekamy cię!

S. M. K.

O Kubusiu Malinie i o boćku Kruszynie.

Powiastka.

(Ciąg dalszy).

III.

Bociek o nieszczęściu owem nic nie wiedział,
Długi czas spokojnie w gnieździe sobie siedział,
Myśląc o mamie, bo był bardzo głodny.
Już wieczór zwolna nastawał dość chłodny,
Dawno obiadu czas zwykły też minął,
A tu o mamie jakby słuch zaginął.
Nie dziw, że bociek w ciężkiej był udręce
„Nuż drogę zmylą i nie wrócą więcej.
I nigdy mamy, braci nie zobaczę,
Toż ja się chyba tu na śmierć zapłaczę“.

Wtem silny wicher rozdarł czarną chmurę,
A z poza chmury boćki długim sznurem
Leciały. (W oczach z każdą chwilą rosły.)
Wciąż bliżej były, a w dziobach coś niosły.
Więc się nie mylił, myśląc, że te same.
Toż zaklekotał, bo zobaczył mamę.
Ta uściskała dzieciątko kochane,
Boćki zaś dziwy plotły niesłychane,
Gdzie z mamą były i co tam widziały.
Słuchając bociek, aż stumaniał cały.
Wytrzeszczył oczy, dziób na wszerz rozdziawił,
Wyciągnął szyję i uszy nastawił,
Kiwał głową, bladł, to się znów rumienił,
Stał, jakgdyby w słuch cały się zamienił.
Boćki ogarnął kaznodziejski zapał.
Wtem nagle malec głośno się rozpłakał.
Chcieli go bracia częstować żabkami,
Ale się gniewał i tupał nogami,
Nastroszył pióra i minę napuszył,
I choć był głodny, lecz żabek nie ruszył.
Z gniewu wnet począł dziobem głośno trzaskać
I nawet mamie nie dał się pogłaskać.
Pod nosem mruczał, coś układał sobie.
Ach, zobaczycie co ja jutro zrobię!
Gdy taką groźbę mamie, braciom rzucił,
Wraz się niegrzecznie do wszystkich odwrócił,
Coś jeszcze mruczał, przytem trząsł się cały
Brzydki zazdrosny bociek i zuchwały.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Zdrada ślepca.

OPOWIEŚĆ. Napisał Bronisław Mazowiecki

(Ciąg dalszy.)

— Bądź pewna, że zapobiegnę nieszczęściu. Już Bóg mnie natchnął...

Kazał wnuczce położyć się spać na kilka godzin, ponieważ na długo przed świtem miał ją zbudzić i wyjść z nią z domu.

Dziecko spłakane zasnęło natychmiast, a wtedy na środku ciemnego pokoju ślepiec, nie rozbierając się, upadł na kolana i zaczął się modlić gorąco.

— Wejrzyj, Panie, na ojczyznę naszą, której krzywda się dzieje. Nie daj, by nam kto wolność odbierał, którąśmy nad życie ukochali, jako najcenniejszy dar z rąk Twoich. Oświeć tedy, Boże, nieprzyjaciół naszych, by nie plamili rąk swoich nieprawością. Jako nam Ty odpuszczasz nasze winy, i my przebaczamy tym, co nas krzywdzą, i jakoś nam kazał, modlimy się za nich do Ciebie: daj. Ty im Panie, tę samą pomyślność, o jaką prosimy Cię, Ojcze dla siebie... I nie pokaraj ich nigdy odebraniem wolności. A przybliż łaskawie ów czas daleki, kiedy już wyschną po ziemiach wszystkie studnie zatrute, z których narody czerpią truciznę dla ducha!...

Rozdział IV.

W obozie nieprzyjacielskim.

Jeszcze brzask dzienny nie rozproszył mroków nocy, kiedy w zagrodzie Szymona Górki skrzypnęła furta, przez którą Anna wyprowadzała dziadka, zostawiwszy w domu wszystkich śpiących.

Za chwilę stanęli oboje u studni pasterskiej.

O kilkanaście kroków od niej żołnierz na straży, w miejscu gdzie się zaczynały granice wielkiego obozu, przystanął i wpatrzył się uważnie w dwie postacie.

Ale dziecko, prowadzące za rękę ociemniałego, nie wzbudziło podejrzeń. Szyldwach więc zaczął dalej chodzić tam i z powrotem po wyznaczonej mu na wartę przestrzeni.

Rozwidniało się szybko i niebawem w całym obozie zrobił się nagle ruch. Wojsko wstawało.

Górka czekał właśnie tylko na tę chwilę, oparty o studzienne ocembrowanie.

Teraz kazał Anusi usiąść na kamieniu i czuwać, by ktokolwiek zbliży się do studni, ostrzegać go, iż woda w niej nie jest do picia. Sam zaś, kierując się słuchem, przeszedł na drugą stronę gościńca, skąd dolatywały go głosy ludzkie.

Warty zatrzymały niewidomego, ten zaś poprosił, by przywołano najbliższego oficera. Widocznie znajdował się jakiś porucznik w pobliżu, ponieważ zaraz kazano ociemniałemu mówić, czego żąda.

— Przekonajcie się naprzód — odezwał się Górka — żem istotnie ślepy i że nic w waszym obozie nie zobaczę takiego, cobyście chcieli ukryć przed nieprzyjacielem. Nie widzę nic, możecie więc mnie wpuścić do środka, spokojni o swoje tajemnice wojskowe. Przychodzę tu dla waszego dobra, nie jako rodak wojowników, z którymi walczycie, ale jako człowiek, który w was nie widzi nieprzyjaciół, tylko bliźnich swoich. To, co mam wam powiedzieć, chcę wyznać jedynie przed kimś z wyższych oficerów, i dlatego proszę, zaprowadźcie mnie do kogoś ze swych przełożonych.

Wtem dokoła nich powstała wrzawa. Górka usłyszał wyraźnie ruch niezwyczajny, potem jakieś szepty, wreszcie zapanowała cisza.

C. d. n.



Procesja abisyńska

Rozwiązanie Łamigłówki-rozsypanki z nru 3 go.

Bracia, patrzcie jeno, jak niebo goreje,
znać, że coś dziwnego w Betlejem się dzieje,
rzućmy budy, warty, stada,
niechaj niemi Pan Bóg włada,
a my do Betlejem.